

LEOKADIA DĄBCZAK

ur. 1931; Wysokie



Miejsce i czas wydarzeń	Wysokie, II wojna światowa
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, koń, kasztanka, ukrywanie się, życie w czasie okupacji, głód, kozacy

„Zostawiamy ci kasztankę”

Konia nie było. Ojciec lubił bardzo konie, ale nie było możliwości utrzymania konia, bo tam po tym stryju dwa hektary były, resztę dorabiali. I też w dacie nie potrafię tego określić, ale w nocy zastukali do okienka, ojciec wyszedł, i powiedzieli tak: „Zostawiamy ci kasztankę”. Takiego koloru była, ale taka biedna, że ledwo nogi ciągnęła. „Zostawiamy ci kasztankę, masz ją odchowić, możesz robić wszystko, a jak się wojna skończy, to po nią się ktoś tutaj zgłosi, to wtedy żebyś oddał”. No to ojciec zapytał się: „Ale komu mam oddać?”. - „Nie martw się, coś takiego ci powie, że będziesz wiedział, że to ten”. No i ojciec ucieszył się strasznie, bo konika miał, ale tak ją odchuchał, tak ją odchowiał. Była tak kochana. My tośmy łazili pod nią i do niej, i przy niej, nie ruszyła się nawet. Była kochana przez nas wszystkich. No i jak te wojska przeszły, jechał kozacki jakiś, jakaś bateria czy pluton, czy coś, no w każdym bądź razie krzyczą, że kozacy jadą. No to panny uciekały. Ta sklepowa, co była właśnie dorosła panienka, chcąc sobie jakoś tak, no ja wiem, ułatwić, mówi: „To ty też uciekaj!”. No ja byłam dzieckiem przecież, jeszcze byłam bardzo szczupła, drobna. No ale gdzie uciekamy? Uciekłyśmy w tytoń, bo taki był, co Niemcy kontraktacje dawali do tego. No i takie liście wielkie, i schowałyśmy się w tym, siedziałyśmy w tym tytoniu. Przyjechali, ja ten domek nasz zamknęłam, zaczęli kołatać. Domek zamykało się sierpem. Zaczęli walić w drzwi, ale nikt się nie odezwał. My siedziałyśmy w tym tytoniu, i wycofali się. No i później widzimy, że oni się tutaj zatrzymali, bo tu był sklep. Tam nic specjalnie nie było, ale taki odpoczynek sobie zrobili. No i chodzili, to chcieli mleka, chleba chcieli. A skąd to było wziąć ten chleb, jak siostra zakonna przyszła, zbierała chleb w takiej pelerynie dłużej, a pod tą peleryną miała worek z chlebem. No i przyszła, prosi o ten chleb, a mama mówi: „Nie mamy chleba, nie możemy siostrze dać”. Ona mówi: „Ale to dla dzieci”. - „No dla dzieci, ale i dla dzieci nie mamy. Moje dzieci też nie mają czego jeść. Mogę siostrze powiedzieć i mogę siostrze dać żyta”

Mama poszła, nazżynała żyta, niedojrzałego takiego, jeszcze niedojrzałe było. Jakoś tam go wysuszyła, w piecu suszyła, żeby go wykruszyć z tych kłosów. Jak zboża jakiegoś ojciec gdzieś zdobył, to nocami, taka maszynka była zrobiona, młyn taki, kręciło się korbką, i powstawała ta mąka - to nie była mąka, tylko to było takie rozdrobnione. Tyle że rozdrobnione trochę, i z tego kluski jakieś mama gotowała, czy placki piekla. I z tego zielonego żyta takiego nakręciliśmy, tej niby mąki, i mama napiekła tych fajercarzy, takich, co to modne teraz są. Ale one były takie niedobre, bo one były takie mdło-słodko-kwaśne, nie wiadomo co takie, i zielone te placki były. Ja nie mogłam jeść, a brat młodszy mówi: „Nie płacz, tylko jedz, bo jeszcze będzie czas, że i tego nie będziesz miała”. No i ja sobie tak pomyślałam, że jak on mi tak mówi, to trzeba jeść. Na czereśnie śmy tylko chodzili. Siedzieliśmy na czereśniach, jedliśmy czereśnie. Trzęśliśmy, żeby kury zjadły. A siostra zakonna mówi tak: „To ja pani dam chleba” I z tego worka wyjęła taką pajdę razowego chleba, grubą pajdę ukrojoną, nie pół chleba jakiegoś, tylko pajda taka gruba. I mówi: „Niech pani da dzieciom”. To mama nam podzieliła na ileś dni tego chleba, i tak nam wydzielała codziennie po kosteczce tego chleba. Bardzo ciężko było. A wracając jeszcze do kasztanki, to ci posiedzieli, a ta wylazła już później, bo widzi, że już ludzie powychodzili, to też wyszła. Byli niegroźni. I ona wyszła, otworzyła ten sklep. Ci jak przyszli, to oni tak posiedzieli tam, coś im tam dali, wynieśli mleka jakiegoś, kto tam miał. U nas też jedna krowa była za Niemca, to musieliśmy oddać. Jeżeli nie oddało się dziennie siedem litrów mleka, to zabierali krowę. To mama zbierała, jak mogła, to mleko, żeby te siedem litrów było, tak że przez cały czas ta krowa u nas przetrwała. Mieliśmy tą krowę do wyzwolenia. W każdym bądź razie innym razem też krzyczą, że kozaki jadą, a ojciec krzyczy na mnie: „Leć, bo kasztanka na sadzie”. No to ja polecałam szybko za stodołę, odpięłam ją. I ja nie prowadziłam jej nigdzie, ani do obory, ani nigdzie, tylko ją w pole, i w tę między właśnie, pomiędzy te zboża. I wtedy właśnie ci kozacy, przyleciał jeden: „Koń!” Ojciec mówi, że: „Nie ma konia” To on do obory poszedł i zobaczył gnój, nawóz zobaczył koński i krzyczy, że jest koń, a ojciec mówi, że nie ma. Coś mu tam tłumaczy, że tego konia nie ma. A jak ja ją odpięłam, to ona chciała się paść na lepszej trawie, jak ją wprowadziłam w tę między. I ojciec mówi tak: „Patrzę, ten do obory, z obory, rozgląda się, leci do stodoły, a ja patrzę cały czas, że jeszcze kasztankę widać, jeszcze ogon”- zanim ją wciągnęłam pomiędzy to zboże. No i kasztanka została, i była u nas do końca. I później, długo po wyzwoleniu –facet przyjechał po nią, no i zabrał nam kasztankę. A kasztanka, jeszcze jak wyzwolenie było, to przed domem rósł taki wielki krzak kwiatków, nazywały się kozaki, nazywali kozaki, taki rozrośnięty. I co się kolwiek działo, to mama nigdy nie uciekała, tylko w tych kozakach siedziała. Później rozmawiałam z mamą, i mówię: „Mamo, przecież patrzę, jakby się tak zapaliło, jakby się chałupa zaczęła palić, to byś się ugotowała tutaj w tych kozakach, bo to blisko domu było, a jak byś wylazła, to by cię i tak zestrzelili” No bo tak byliśmy przyzwyczajeni, że co się rusza, to się strzela. No i mama w tych kozakach zawsze siedziała.

Data i miejsce nagrania	2017-06-22, Lublin
Rozmawiał/a	Piotr Lasota
Redakcja	Piotr Lasota
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"